

Błażej Dzikowski - Tramwaj linii 19

1.

Miał przyjechać w odwiedziny Nowy Papież i nikt nie wiedział, czego się po nim spodziewać. Poprzedniego znali doskonale, bo dorastał w ich kraju i wiedzieli nawet, jakie wyroby cukiernicze lubi najbardziej. Nowy Papież był obcy. Fryzurę miał cudzoziemską, rysy twarzy wyraźnie niesłowiańskie, cerę tak gładką, jaką się widuje tylko u staruszków z Zachodu. Młodziży przypominał złego imperatora Palpatine z Gwiezdných Wojen. Wylewnie pozdrawiał Polaków z watykańskiego okienka, ale dotychczas nie wypowiedział się konkretnie na żaden temat i Polacy nie mieli pojęcia, czy ich kraj wciąż się liczy w Chrześcijaństwie. Kiedy mówił po polsku- a czynił to chętnie i często, choć z karteczki- jego nienaturalna wymowa nasuwała podejrzenia o fałszerstwo.

Dziwny, tajemniczy Papież. Niemiec.

A wiosna była odpowiednia na taką wizytę: wiosna zmian, chłodna i szumiąca wiatrem, ciemna. Front atmosferyczny wisiał nad Warszawą od tygodni i ani drgnął, co jest zachowaniem dla frontów atmosferycznych nietypowym. Na niebie wisiały popielate, nadmiernie skomplikowane chmury. Często padał deszcz. I tylko o zachodzie słońca, w porze transformacji barw, miasto na chwilę stawało się piękne.

Telewizja i radio serdecznie witały pielgrzyma. A ludzie nie wiedzieli, co myśleć:

- Normalnie nie piłbym, ale mnie takie coś wkurza. Poszedłem i kupiłem dziesięć na zapas. Za mało się jeszcze postarał, żeby nam zakazywać- oznajmił zionący alkoholem dryblas, który trzymał w łapie ciemnoczerwona, trochę już oklapniętą różę. U jego stóp leżała plastikowa torba z kawałem wołowiny, a na mięsie stało tajemnicze, tekturowe pudełko.

- Przecież to nie on zakazał, tylko ten rząd cudowny- wtrąciła starsza pani we włochatym, czarnym berecie, przypominającym straszego pajaka. Przyciskała do piersi zwinięte czasopismo „Pacjent Polski”. Dotychczas rozglądała się dokoła, jakby wypatrywała zagrożenia i co chwila rozchyłała usta, jakby chciała coś powiedzieć, albo jakby oddychanie przez cienki i długi nos sprawiało jej trudności.

- To niech pani wraca do komuny- powiedział trzeci pasażer, gruby wąsacz. Przedtem tylko ziewał i bezmyślnie wyglądał przez okno, ale, co można było dostrzec po uważniejszym spojrzeniu, jednocześnie bardzo szybko stukał prawą nogą w podłogę; najwyraźniej kończyła nie podzielała panoszącej się w reszcie ciała senności i rwała się do czynu.

- A pan leć do Ameryki. Mędrzec nie wiedział, że ma na dupie przedział.

- Dama z bombką w nosie.

Obok siedział młodzieniec w znoszonej, skórzanej kurtce. Nazywał się Piotruś. Nieznajoma dziewczyna, która stała przy nim, nie odsunęła uda, do którego lekko przycisnęła swoje, choć na palcu miała obrączkę.

- Przepraszam, on staje na Placu Zbawiciela?

2.

Tramwaj sunął pod ciemnymi chmurami. Numer 19. Zazwyczaj stawał na Placu Zbawiciela, ale teraz wcale nie było to takie pewne. Trasa najwyraźniej uległa zmianie: Piotruś nie wiedział nawet, że na tych ulicach są tory tramwajowe. Trochę padał deszcz, trochę świeciło słońce. Wiatr rzucił o szyby garść kropel.

- Nie staje. Objazd jest, remontują Marszałkowską, żeby ładnie wyglądała dla Papieża.

- Oj, to ja muszę wysiąść- zmartwiła się chuda pani, która przed chwilą wsiadła.

- Żeby się przypodobać Papieżowi, który jeździ papamobilem, ministrowie, którzy jeżdżą limuzynami, utrudniają życie pasażerom tramwajów- zauważyła pani z czasopismem, którą wcześniej wąsacz wysłał do komuny.

- Dama z bombką w nosie- powtórzył swoje, ale już ciszej i puścił oko do Piotrusia.

Piotruś nie denerwował się. Jechał do salonu tatuażu, który znajdował się przy zajezdni tramwajowej, a jakąkolwiek trasą tego dnia pojedzie tramwaj, nie ominie przecież zajezdni. Podczas długiej jazdy miał wymyślić sobie symbol, który zdolny mistrz igły umieści na jego ramieniu (czy klatce piersiowej?), bo dotychczas nic mu nie przyszło do głowy. Jednak ciepłe udo stojącej obok dziewczyny rozpraszało go i przenosiło świadomość z głowy do lewej nogi. Gdyby w takich warunkach wymyślił symbol, byłby to znak mało doniosły i raczej frywolny, a doświadczenie znajomych uczyło go, że nie warto decydować się na podstawie porywu zmysłów; niejedno już imię i niejednen portret musieli tatuażyci tego świata przykrywać płataniną roślinnych motywów.

Może prężący się do skoku tygrys? Odsunął nogę i w celu ochłodzenia uczuć popatrzył na siedzącego naprzeciwko misiowatego, zadbanego pana, który bardziej przypominał prezesa prywatnej telewizji, niż typowego pasażera tramwaju. Pan trzymał w ręku wielofunkcyjne urządzonek, jakiś minikomputer. Czytał z małego ekranu i dotykał go czarnym, plastikowym rysikiem. Nagle urządzonek zaczęło dzwonić i pan podniósł je do ucha.

- Cześć. Za chwileczkę. Już jadę. Nie wie. Nie wiedzą. Zostanę. Tak. Ja też.

W tym czasie podchmielony dryblas położył ostrożnie różę na podłodze i wyjął z torby tekturowe pudełko. Otworzył je i wtedy okazało się, że w środku była malutka, tandentna suszarka do włosów, którą można kupić na podejrzanych straganach pełnych rupieci. Osilek ze skupieniem oglądał przyrząd, raz nawet pstryknął włącznikiem, jakby wierzył, że zadziała bez prądu.

- Przystanek Woronicza- powiedziały głośniki i choć większość osób nie miała pojęcia, jaką ulicą teraz jadą, wszyscy byli pewni, że to nie może być Woronicza.

- Zepsuło się- wyjaśnił wąsacz. - Podatki idą na jedzonko i telewizory dla morderców w więzieniach. - Przy tych słowach spojrzął wymownie na mężczyznę z suszarką, który istotnie wyglądał, jakby spędził trochę czasu za kratkami.

Gdy wybrzmiał kłamliwy komunikat, wypowiedziany przez znanego aktora, z siedzenia na przodzie tramwaju wstała wiekowa babcia, opatulona czerwonym szalikiem. Wystająca spod wełnianych splotów twarz wyglądała jak kalafior - biała, bulwiasta i pomarszczona. Głowa starowinki nieustannie drżała na boki, jakby wyrażała absolutny i wszechogarniający sprzeciw wobec wszystkiego, co może się zdarzyć w dzisiejszych czasach. Staruszka poczęła niewyobrażalnie powoli zmierzać w stronę wiszącej na szybie rozpiski przystanków. Trwało to bardzo długo i wszyscy patrzyli na nią z zapartym tchem. Wreszcie dotarła do celu

i podniosła załzawione oczy na tablicę.

- On źle jedzie- wyjaśniła pani z pismem. - Rozpiska nieważna.

- Tu bzdury napisane, trzeba poczekać, aż się wyjaśni! - krzyknął mężczyzna z różą

i uniósł rękę, jakby chciał jakoś pomóc starowince.

- Proszę nie patrzeć na tabliczkę, inaczej jedzie! - powiedział wąsacz i skinął na Piotrusia, który najpierw wstał, a dopiero potem skłął się w myślach za brak oporu. - Młody dżentelmenie, ustąpić miejsca trzeba. Babcia usiądzie!

Staruszka siadała równie długo, jak przedtem sunęła do tablicy przystanków. Kiedy wreszcie jej się to udało, zaczęła coś mówić, ale tak cichutko, że nie można było odróżnić słów. Podekscytowani jej biedą i chętni do niesienia pomocy pasażerowie otoczyli ją

i nachylając uszy do jej ust starali się odgadnąć, o co chodzi. Wreszcie pani z pismem zrozumiała. Słowo, wypowiedziane przez babcie, które wszyscy tak pragnęli usłyszeć, jakby chodziło o objawienie, brzmiało: „wate”;

- Babcia chce waty! - wszczęto alarm, ale nikt nie posiadał tego towaru; ktoś podsunął starowince chusteczki, ale nie zwróciła na nie uwagi, w ogóle wydawało się, że podczas całego zamieszania zasnęła. Dano więc jej spokój, tym bardziej, że tramwaj zwalniał i zbliżał się do następnego przystanku.

Wsiadła kobieta z małym chłopcem w czarnym garniturze i czarnych okularach. Prowadziła go za rękę. Nowi pasażerowie zaniepokoiili Piotrusia. Chłopiec był blady

i wyglądał, jakby chodził przez sen. Matka posadziła go, spojrzała na rozkład przystanków,

a potem rozejrzała się po zgromadzonych.

- Przepraszam, on staje na Placu Zbawiciela?

Pytanie wywołało eksplozję skarg i narzekań.

- A żebym to ja wiedziała! Sama nie wiem, dokąd jedzie to cholerstwo.

- Ja też nie wiem już, wysiadać, czy nie?

- Gdzie my właściwie jesteśmy?

- Ktoś zastuka do motorniczego!

- Napisane, żeby nie przeszkadzać w czasie jazdy.

- Którędy on jedzie?! Pijany pewnie, albo wariat!

- Ten tramwaj nie jedzie na Plac Zbawiciela- odpowiedział mamie tajemniczy chłopczyk i promień słońca załśnił w jego czarnych szklach. - On jedzie na Miejsce Sądu.

Ot, niezdrowy chłopiec. Biedaczysko nie rozwija się normalnie. Ale jego słowa, które najpierw zabrzmiały śmiesznie, zmroziły serca sąsiadów.

3.

Wzburzenie narastało za plecami motorniczego Bogdana. Był łysy, spod znaku Strzelca, nosił duże okulary, zawsze się uśmiechał i okazywał ludziom życzliwość. Ale teraz nie było mu do śmiechu, samotnemu kapitanowi, który nie wie, dokąd zmierza jego statek, a on siedzi odgradzony od zalegnionych pasażerów grubymi szybami.

Nie miał kontaktu z centralą. Godzinę temu kazali mu podjechać kawałek trasą linii 36 z powodu jakiegoś wypadku, potem skręcić za Trasą Łazienkowską, potem nie usłyszał od nich ani słowa. Nie poznawał trasy, nie miał nawet czasu spojrzeć na mapę. Tramwaj to nie samochód, nie można zjechać na pobocze ani zawrócić- jedzie się tam, gdzie prowadzą tory. Liczył na to, że w końcu dotrze do którejś zajezdni i tam sprawa się wyjaśni. Pozostawało mu tylko prowadzić, jakby nic się nie działo. Stawał na czerwonym, ruszał na zielonym, zatrzymywał się na przystankach, których wcześniej nigdy nie odwiedzał- samotnych i zabiedzonych, peryferyjnych przystankach.

Nadzieję na wyjaśnienie sytuacji pokładał jeszcze w radiu, ale na razie transmitowało tylko jakieś uroczystości, na żadnej stacji nie padło ani słowo na temat komunikacji miejskiej. Było słychać albo smutną muzykę orkiestrową, albo komentarze w rodzaju: „Wyszedł! Nie, nie wyszedł. Co za tłum! Proszę państwa, widzę tłumy. To on! Nie, to jeszcze nie on.” Czyżby chodziło o nowego Papieża? Niemożliwe, miał przyjechać dopiero za tydzień.

Czerwone. Stop. Motorniczy Bogdan zdjął z nosa okulary, wziął chusteczkę, na której żona wyhaftowała jego imię, i wytarł spoconą twarz.

4.

- Następny przystanek: kino Femina- zabrzmiał nad głowami pasażerów łagodny głos aktora.

- Zamknąby się, kretyn! - wrzasnęła na uprzejmy głośnik starsza pani z pismem. - Nie wie, a gada!

- Żenująco!- Zarażony tym wybuchem prezes stracił zimną krew. Wstał i zamachał w powietrzu pięścią. - Najwyższy czas, żeby Zakłady Transportu Miejskiego stały się brandem na miarę wyzwań współczesności!

Wydawszy taki okrzyk, powiódł wzrokiem po zebranych, szukając poparcia dla swojej bezkompromisowej postawy. Napotkał jednak chłodne spojrzenia. Nikt nie zamierzał wybaczać mu luksusowego garnituru i cudownego urzędzonia tylko dlatego, że od święta ponarzeka na ZTM. Rozłożył więc pięść i opuścił rękę w lekceważąco- gniewnym geście.

- Nie ma co dalej jechać- mruknął do siebie obrażonym tonem i usiadł. - Na głupiego nie trafiło.

- Powiedział co wiedział, a wie, co zje- skomentował szukający zaczepki mężczyzna z różą.

- A Pan się przestań awanturować! - krzyknął wąsacz, którego prawe kolano podskakiwało już prawie pod brodę. - Trzeba jechać spokojnie, bo pójdę do motorniczego

i wysadzi kogo trzeba na łączkę!

W tym momencie tramwaj minął ostatnie zabudowania miasta i za oknami ukazała się nie łączka, ale coś zbliżonego, choć dużo smutniejszego. Ciemne pola, wzgórza i chude drzewa, które nie doczekały się jeszcze liści tego roku. Mijali stojące pod ołowianym niebem puste pociągi osobowe, niektóre oznaczone napisami w obcych językach.

I dla wszystkich stało się jasne to, czego nie chcieli dopuścić do świadomości: działo się coś złego i bardzo dziwnego.

Podchmielony dryblas nie wytrzymał napięcia i zaczął płakać. Łzy spływały po buraczkowych policzkach i drżały na ostrych koniuszkach zarostu.

- Jechałem żonę przeprosić- powiedział i wskazał na różę, wołowinę i tandentną suszarkę.

To dramatyczne wyznanie obudziło innych do zwierzeń. Niepewni swego losu zaczęli się skarżyć i opowiadać, gdzie chcieli się dostać.

Pani z „Pacjentem Polskim” jechała do szpitala, do dorosłej córki, która wreszcie dała jej wnuczkę.

Prezes wyznał, że wymknął się z pracy i jechał na spotkanie z sekretarką, którą kazała mu zwolnić zła żona.

Gruby wąsacz jechał kupić wymarzoną nową skrzynkę z narzędziami, w której śrubokręt ma nawet do 10 nakładek.

Młoda mężatka, której udo było wcześniej tak przychylnie Piotrusiowi, jechała na rozmowę o pracę w redakcji czasopisma o psach, bo miała realną szansę wyrwać się

z nudnego domu.

Omotana szalikiem staruszka powiedziała coś o wacie, ale należy wątpić, czy rozumiała co się dzieje.

Natomiast Piotruś, jak wiadomo, chciał sobie zrobić tatuaż, ale nie powiedział tego pozostałym, bo nie lubił się zwierzać. Mama niezdrowego chłopca też zachowała milczenie.

- Co teraz będzie? - pytali pasażerowie.

Piotruś poczuł na palcach uścisk dłoni dziewczyny. Chwycili się za ręce i patrzyli za okno. Ich twarze były blade i nieruchome.

Tramwaj jechał dalej. Kołysany wiatrem mrocznych, miejskich peryferii, prowadzony przez motorniczego Bogdana. Mijali opuszczone fabryki i wypełnione rdzawą wodą betonowe baseny.

Nagle tramwaj zwolnił i zatrzymał się. Otworzyły się wszystkie drzwi. Na zewnątrz nieznana zajezdnia, błoto i syczący las słupów wysokiego napięcia za przerdzewiałą siatką. Wokół przystanku ganiały się dwa parszywe, ale wesołe psy.

Bali się wysiąść. Czekali.

- Wysiadamy- powiedział z uśmiechem Bogdan, wsadzając głowę do przedziału.

- Zakłady Transportu Miejskiego przepraszają państwa za zamieszanie, nastąpiło mylne przekierowanie. Na zajezdni stoją tramwaje, którymi wrócą państwo do Centrum.

- Ale gdzie my jesteśmy?

- Zajezdnia Stawisko- i Bogdan poszedł porozmawiać z kolegami motorniczymi, którzy odpoczywali sobie i pili kefir na drewnianej ławce.

- Stawisko! - śmiali się. Unikając spojrzeń innych pasażerów wychodzili z przedziału i szli do stojących obok tramwajów, żeby szybko odnaleźć wytchnienie wśród obcych.

- Zawsze mi stracha, łobuzie, napędzisz- kobieta skarciła chłopca w garniturze

i pociągnęła go za rękę do tramwaju linii 33.

Piotruś nie wstawał. Patrzył za młodą mężatką, która w trakcie przemowy motorniczego błyskawicznie puściła jego rękę, jakby ją parzyła, a teraz podciągając spódnicę biegła przez błoto do tramwaju linii 22, oświetlonego i gotowego do odjazdu.

Wydawało mu się, że już dokładnie wie, co powinien wyrażać jego tatuaż.

Ale nie miał pojęcia, jaki symbol odpowiada temu uczuciu.

Opowiadanie pochodzi ze zbioru „Wszystkie zwierzęta na poboczu autostrady” (wyd. Zielona Sowa, 2007)

Błażej Dzikowski ur. 1976r. w Warszawie. Studiował anglistykę oraz wiedzę o kulturze na UW i pisanie scenariuszy w łódzkiej filmówce. Opublikował powieść "Pies" (2002) i wiele opowiadań w prasie literackiej. Autor cyklu "Wabienie rekinów", drukowanego od 2005 roku w piśmie „Studium”. Niedługo ukaże się jego zbiór opowiadań "Wszystkie zwierzęta na poboczu

autostrady" (wyd. Zielona Sowa), z którego pochodzi "Tramwaj nr 19" - oraz druga powieść, "Brokat w oku".

Strona internetowa: www.blazejdzikowski.pl